

Nazywam się

Charlotte

Simmons

TOM WOLFE

Prolog

Jestem z Duponta

Przy każdym otwarciu drzwi męskiej ubikacji do środka wdzierał się podkręcony ryk Swarmu — kapeli łomoczącej koncert w sali na górze — i odbijał się rykoszetem od wszystkich luster i ceramicznych powierzchni, aż wydawało się, że jest dwa razy głośniejszy. Ale wtedy drzwi zamykały się na pneumatycznych zawiasach, Swarm odchodził w niebyt i znowu słyszało się studentów, pijanych młodością i piwem, żartujących albo przynajmniej hałasujących przed pisuarami.

Dwaj z nich odkryli, że śmiesznie jest kołysać rękami przed fotokomórką, by pisuary bez przerwy się splukiwały.

— Co ty, jaka zdzira? Powiedziała mi, że jest zadziewiczona! — wrzasnął jeden. Obaj padli ze śmiechu.

— Tak powiedziała? Zadziewiczona?

— A jak! Zadziewiczona albo że się odrodziła dziewicą, jakoś tak!

— Może myśli, że do tego są pigułki dzień po?! — Znowu padli. Osiągnęli ten etap imprezy, na którym każda uwaga wydaje się jeszcze śmieszniejsza, jeśli się ją wykrzyczy.

Musze się splukiwały, chłopcy konali pod wpływem kolejnego dowcipu, a gdzieś w długim rzędzie kabin ktoś wymiotował. Potem drzwi znowu się otwierały i Swarm znowu ładował się do środka.

Jednakże nic nie przeszkadzało jednemu studentowi przed rzędem umywalek. Jego uwaga była przykuta do tego, co widział w lustrze, czyli własnej śnieżnobiałej twarzy. W głowie miał wicher. Podobało mu się. Wyszczrzył zęby. Nigdy w życiu nie wydawały mu się takie białe. Ale równe! Ale białe! Aż wibrowały doskonałością. A ta kanciasta szczeka... ten podbródek z

doskonałym rowkiem pośrodku... te geste, bujne, jasnobrązowe włosy... te olśniewające orzechowe oczy... wszystko jego! Ten w lustrze to on! Raptem poczuł się jak ktoś obcy, spoglądający sobie przez ramię. Ten pierwszy on był wstrząśnięty własną urodą. Serio. Ale ten drugi przyglądał się twarzy w lustrze z dystansem i obiektywizmem, które doprowadziły go do tego samego wniosku — że wygląda zawaliście. Potem obaj obejrzeni ramiona w miejscu, w którym wyłaniały się z rękawów koszulki polo. Odwrócił się w bok i wyprostował ramię, żeby triceps rysował się lepiej. Zajebicie, zgodzili się obaj. Nigdy w życiu nie był szczęśliwszy.

Mało tego, był także na granicy ważnego odkrycia. Miało to coś wspólnego z jedną osobą patrzącą na świat dwoma parami oczu. Gdyby tylko mógł zatrzymać tę chwilę w umyśle, przypomnieć ją sobie jutro i zapisać. Dziś nie był w stanie, nie przy tym bajzlu w czaszce.

— Siemka, Hoyt! Jak leci?

Oderwał wzrok od lustra, a tam stał Vance, jak zwykle z jasną strzechą włosów. Byli w tym samym bractwie, a Vance był nawet prezesem. Hoyt odczuł przemożne pragnienie, by się z nim podzielić odkryciem. Już otwierał usta, ale nie mógł znaleźć właściwych słów i nic z nich nie wyszło. Więc rozłożył ręce, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Ładnie wyglądasz, Hoyt! — rzucił Vance, podchodząc do pisuarów. — Ładnie wyglądasz!

Hoyt zrozumiał, że wygląda na bardzo narąbanego. Ale w obecnym wysublimowanym stanie, cóż to dla niego znaczyło?

— Hej, Hoyt! — mówił dalej Vance, stojąc już przed pisuarem — Widziałem tam na górze, jak startujesz do tej ciupci. Mów prawdę! Serio cię kręci?

— A moe baaej ssaonć? — odparł Hoyt, który usiłował powiedzieć: „A może bardziej stanąć?”, i w bardzo nieznacznym stopniu zdawał sobie sprawę, jak strasznie mu się nie udało.

— I ładnie mówisz! — stwierdził Vance. Odwrócił się, by obdarzyć uwagą pisuar, ale potem jeszcze raz spojrzął na Hoyta i dodał poważnym tonem: — Wiesz, co myślę? Myślę, że jesteś napruty. Lepiej wracaj do domu, póki jeszcze coś jarzysz.

Hoyt odpowiedział niezrozumiałymi protestami, lecz bez większego przekonania, i wkrótce obaj opuścili budynek.

Była łagodna majowa noc z przyjemnym wietrzykiem i księżycem w pełni, którego światło rozpraszało ciemności,

wyłaniając z nich falisty dach teatru, oficjalnie nazywanego na uniwersytecie Operą Phippsa, będącego jednym z powstałych w latach pięćdziesiątych słynnych nowoczesnych dzieł architekta Eera Saarinen. Tonące w blasku wejście do teatru rzucało ognistą ścieżkę na plac i rząd jesionów u progu innej słynnej ozdoby kampusu, Gaju. Gdy Charles Dupont — król barwników sztucznych i kolekcjoner dzieł sztuki, niespokrewniony z du Pontami z Delaware — sto piętnaście lat temu zakładał Uniwersytet Duponta, wyobraził sobie prawdziwy akademicki gaj, w którym młodzi i starzy uczeni mogliby przechadzać się w zamyśleniu. Zatrudnił legendarnego architekta krajobrazu, Charlesa Gillette’a. W kampusie było w bród owoców geniuszu Gillette’a. W samym sercu znajdował się Wielki Dziedziniec — czworobok złożony ze starszych budynków szkoły — a także ogród botaniczny, dwa ukwiecone trawniki z altanami, obsadzone drzewami parkingi, ale nade wszystko owo arboretalne arcydzieło, Gaj — tak artystycznie zaplanowany, że nikt by nie pomyślał, iż uniwersytet jest otoczony czarnymi slumsami miasta tak wielkiego jak Chester w Pensylwanii. Gillette doglądał każdego drzewa, każdego krzewu, każdego pnącza i kępy mchu, każdej polanki, każdej byliny, okazów pielęgnowanych z ogromną troską przez większą część stulecia. Wytoczył też kręte ścieżki, w sam raz na perypatetyczne spacer. Jednakże, choć było to zabronione, studenci często szli na skrót przez ten triumf amerykańskiej architektury zieleni, tak jak dzisiaj Hoyt i Vance, pod blaskiem wielkiego bochna księżyc.

Świeże powietrze, cisza i spokój ogromnych drzew rozjaśniły Hoytowi w głowie — albo przynajmniej zaczęły rozjaśniać. Czuł się tak, jakby znów znalazł się na błogim przecięciu osi pijackiego grafiku, w którym upojenie jest dokładnie tak upojne jak trzeba, a rozum i przytomność nie muszą zniknąć... fantastyczny moment totalnego pijaństwa. Był przekonany, że znowu może wypowiadać się zrozumiale i spójnie, a błogi wicher w jego głowie wciąż wiał.

Początkowo, idąc z Vance’em przez gąszcz w stronę alei Laddinga i serca kampusu, nie odzywał się zbyt wiele, bo usiłował zachować w pamięci tamtą chwilę przed lustrem. Jednakże tamta chwila wyslizgiwała się... wyslizgiwała... wyslizgiwała... i zanim się zorientował, w jego głowie powstała całkiem inna myśl. To ten Gaj... ten Gaj... ten słynny Gaj... który szumiał „Dupont”... i sprawiał, że Hoyt czuł Duponta w kościach, i jego kości stawały się absolutnie lepsze od kości wszystkich mieszkańców Ameryki, którzy nigdy nie chodzili do Duponta. Jestem z Duponta, powiedział

do siebie. Gdzie pisarz, który uwieczni to uczucie? To uniesienie, które rozświetlało samo centrum jego centralnego układu nerwowego, kiedy w rozmowie z kimś rzucał niby od niechcienia, że studiuje, a rozmówca pytał (co było do przewidzenia) „Gdzie?”, on zaś odpowiadał najbardziej bezbarwnym i spokojnym tonem „Na Duponcie” i sprawdzał reakcję. Niektórzy, zwłaszcza kobiety, okazywali jawny podziw. Uśmiechali się, ich twarze się rozjaśniały, mówili „O! Dupont!”, inni natomiast, zwłaszcza mężczyźni, sztywnieli i walczyli ze sobą, żeby wyrazem twarzy nie zdradzić się, jak bardzo im to zaimponowało, i mówili „Aha” albo „uhm”, albo w ogóle nic. Sam nie wiedział, co podoba mu się bardziej. Wszyscy jego koledzy i koleżanki, będący tak jak on na ostatnim roku Duponta — a nawet ci, którzy już go ukończyli — znali to uczucie, cenili je, szukali sposobów, by codziennie się nim rozkoszować, o ile to możliwe — teraz i do końca życia — ale nikt jeszcze nie nazwał go słowami i Bóg świadkiem, że nikt z Duponta, żaden mężczyzna ani kobieta, nie starał się sprecyzować tego stanu głośno nikomu, nawet innym przedstawicielom tej czarującej arystokracji. W końcu nie byli tacy głupi.

Hoyt rozejrzał się po Gaju. Drzewa stały jak zakłęte postaci pod złotą pełnią. Wesoło, wesoło wiał wicher — błysk inspiracji — to on, Hoyt, powinien ująć to wszystko w słowa! To on będzie bardem! Wiedział, że ma talent. Nigdy nie miał czasu, by pisać coś innego niż wypracowania, ale teraz po prostu wiedział, że jest w stanie to zrobić. Nie mógł się już doczekać następnego dnia, kiedy się obudzi i wyrazi to uczucie na monitorze komputera. A może opowie o tym teraz Vance’owi? Kiedy zanurzyli się w zaczarowany Gaj, Vance szedł parę kroków przed nim. Z Vance’em można o czymś takim porozmawiać.

Nagle Vance spojrzął na Hoyta, zatrzymał go gestem ręki, podniósł palec wskazujący do ust i przytulił się do drzewa. Hoyt poszedł w jego ślady. Potem Vance pokazał na migi, że powinni wyjrzeć. W blasku księżyca, jakieś dziesięć metrów od siebie, dojrzeli dwie postaci. Jedna, mężczyzna z wielką strzechą siwych włosów, siedział na ziemi pod drzewem, ze spodniami i bokserkami wokół kostek i rozłożonymi masywnymi białymi udami. Drugą była dziewczyna w szortach i podkoszulku, klęcząca między jego kolanami, twarzą do niego. W świetle księżyca jej obfita, poruszająca się w górę i w dół fryzura wydawała się bardzo jasna.

Vance cofnął się za drzewo i wyszeptał:

— Ja cię, Hoyt, ty wiesz, kto to? To gubernator jakiśtam, z Kalifornii, ten co ma przemówić na rozdaniu dyplomów!

Rozdanie miało się odbyć w sobotę. Był czwartek.

— Tto so on tu rrobi? — spytał Hoyt trochę za głośno. Vance znowu położył palec na ustach, zachichotał głucho i szepnął:

— A to akurat chyba jasne, nie?

Ponownie wyjrżeli zza drzewa. Mężczyzna i dziewczyna pewnie coś usłyszeli, bo patrzyli w ich stronę.

— Znam ją! — powiedział Hoyt. — Była ze mną na...

— Hoyt, kurwa! Ćśśś!

Bang! Ktoś chwycił ramię Hoyta w miażdżący chwyt i spytał tonem twardziela:

— Co tu robicie, pojebańce?

Hoyt odwrócił się i stanął twarzą w twarz z niskim, ale potężnie umięśnionym mężczyzną w ciemnym garniturze i krawacie, ledwie obejmującym jego szerszy od głowy kark. Z lewego ucha wystawał mały przezroczyty spiralny kabelek.

Adrenalina i alkohol uderzyły Hoytowi do głowy. Jest z Duponta! A przed nim stał zuchwały małpolud.

— Co robimy? — warknął, niechcący opryskując faceta śliną. — Patrzymy na pieprzoną małpią mordę jakiegoś fiuta, oto co robimy!

Facet chwycił go za ramiona i cisnął nim o pień, wyduszając z niego powietrze. W chwili gdy mały goryl zamachnął się pięścią, Vance osunął się na czworaki tuż za jego plecami. Hoyt zrobił unik — pięść trzasnęła w drzewo — i popchnął ze wszystkich sił napastnika, który z bólu właśnie zaczął ryczeć „kuuuurwa”. Przewrócił się na Vansie i grzmotnął o ziemię, aż rozległo się echo. Zaczął wstawać, ale osunął się z powrotem na ściółkę. Znieruchomiał na boku, tuż przy wielkim obnażonym korzeniu klonu, z wykrzywioną twarzą, trzymając się za ramię ręką o nadgarstku rozciętym aż do kości. Ramię, pewnie wybite ze stawu, było wykręcone pod groteskowym kątem.

Hoyt i Vance, który jeszcze nie wstał, gapili się niemo na ten obraz cierpienia. Facet otworzył oczy, przekonał się, że jego przeciwnicy już nie chcą atakować, i jęknął:

— Schurwele... schurwele... — Potem, ogarnięty Bóg wie jakim uczuciem, wykrzywił się w kolejnym ślepych grymasie i dalej leżał, jęcząc: — Schuuele... mmschuele...

Obaj chłopcy spojrzeli na siebie i, pchnięci jedną myślą, popatrzyli w stronę mężczyzny i dziewczyny. Nie dostrzegli nikogo.

— Co robimy? — szepnął Vance.

— Spieprzamy jak sukinsyny — odparł Hoyt.

I tak zrobili. Kiedy biegli przez arboretum, a drzewa, krzewy, kwiaty i liście tylko migały w ciemnościach, Vance powtarzał nieustannie coś w rodzaju:

— Samoobrona, samoobrona... to była... samoobrona... — aż w końcu zabrakło mu tchu.

Zbliżyli się do końca Gaju, gdzie rozciągał się teren kampusu.

— Zwol... nij — wydyszał Vance. Oddechu starczało mu tylko na jedną sylabę. — Idź... jak... by... nic... zchwuj się... ntrlnie...

Więc wyszli z Gaju i starali się zachowywać naturalnie, tylko że dyszeli jak dwaj zbrojeńcy i oczekali potem.

Vance powiedział:

— Nie... (zipnięcie) mówmy o tym (zipnięcie) nikomu... (zipnięcie). Dobrze? (zipnięcie). Dobrze, Hoyt? (zipnięcie). Dobrze, Hoyt?! (zipnięcie). Kurwa! (zipnięcie). Słyszysz mnie, Hoyt?

Ale Hoyt nawet na niego nie patrzył, a co dopiero mówić o słuchaniu. Serce rozsadzała mu adrenalina tak samo jak Vance'owi, ale w jego przypadku hormon jedynie zasilił wesołą trąbę powietrzną, która teraz wirowała mocniej niż kiedykolwiek. Zniszczył tego sukinsyna! Ależ go przewrócił — ja cię! Nie mógł się już doczekać, kiedy wróci do budynku Świętego Raja i opowie wszystkim. On! Legenda swoich czasów! Rozejrzał się, spojrzął na to, co miał przed sobą, i porwało go męskie uniesienie — ekstaza! — zwycięzcy w bitwie.

— Patrz, Vance — powiedział. — Oto on.

— Kto, jak rany? — spytał Vance, który najwyraźniej chciał stąd spadać, i to szybko.

Hoyt tylko zrobił ruch ręką.

Kampus Duponta... Księżyc zmienił uniwersyteckie budynki w ogromną kompozycję światłocieni i ciemnych kształtów, które wyloniły z mroku w całej okazałości potoki bladego blasku. Wieże, wieżyczki, wieżycy, masywne dachówki — a wszystko to nieodparcie piękne i nieodparcie wspaniałe. Mury grube jak w zamczysku! To była twierdza. On, Hoyt, należał do zaczarowanego koła, do tej garstki wybrańców, którzy mogli wchodzić do twierdzy, kiedy im się podobało... i czuli w kościach jej nieugiętą moc. Mało tego, należał do najbardziej wewnętrznego kręgu tego zaczarowanego koła, mianowicie do Świętego Raja, bractwa tych, którzy zostali wybrani, by panować nad... eee, nad wszystkimi.

Zaprzagnął podzielić się tą doniosłą prawdą z Vance'em... ale, cholera, strasznie dużo by się trzeba było nagadać. Więc powiedział tylko:

— Vance, wiesz, co to jest Święty Raj?

Vance zareagował na totalną bezzasadność tego pytania otwarciem ust i wytrzeszczeniem oczu. W końcu, w nadziei, że skłoni swego towarzysza do ruszenia z miejsca, powiedział:

— Nie. Co to?

— To MasterCard... żebyś mógł robić, co chcesz... co tylko chcesz... — W jego głosie nie było nawet cichej nutki ironii. Tylko zachwyt. Nie mógłby się zdobyć na większą szczerość.

— Hoyt, przestań. Nawet tak nie myśl. Nieważne, co zaszło w Gaju, nie wiemy, o co chodzi! Jasne?

— Nie pękaj — powiedział Hoyt, majestatycznie obracając głową, jakby chciał obejrzeć cały rozpościerający się przed nim obraz. — Wewnętrzny krąg... zaczarowane koło.

Znowu zarejestrował brzeżkiem świadomości, że chyba nie mówi tak całkiem zrozumiale. Leniwie zauważył panikę, która mignęła na skąpanej w świetle księżyca twarzy Vance'a. Co się ten Vance tak napina? Też jest z Duponta. Jeszcze raz spojrzął miłośniczo na księżycowe królestwo przed nimi. Wielka wieża biblioteki... słynne chimery, wyraźnie widoczne na rogu Lapham College... a dużo dalej kopuła koszykarskiej areny... nowe stalowo-szklane centrum neurologii czy czegoś... nawet ta dziwna budowla w tej chwili wyglądała doskonale... Dupont! Laureaci Nobla! Choć nie pamiętał dokładnie ich nazwisk... Sportowcy giganci! Krajowi mistrzowie kosza! Pięciu najlepszych w futbolu i hokeju na trawie!... Choć według niego kibicowanie sportowcom to trochę obciach... Naukowcy — legendarni! Choć to trochę niezziemscy odmieńcy, którzy oscylują na obrzeżach uczelnianego życia... Tradycje — najwspanialsze! Figlarne dziwactwa, przekazywane z pokolenia na pokolenie... najlepszych! Była też niewielka skaza — wzrastająca liczba uczelnianych dziwadeł, kujonów, homoseksualistów, wirtuozów fletu i innych odmieńców, których obecnie zaczęto przyjmować... Nieważne! Jest ich Dupont, czyli tylko dyplom z napisem „Dupont”... i jest prawdziwy Dupont, czyli nasz!

Uczucia tak rozsadzały Hoyta, że chciał się nimi podzielić z Vance'em. Jednakże problem zrozumiałości powrócił, a on zdołał tylko wydukać:

— On jest nasz, Vance, jest nasz.

Vance przesunął ręką po twarzy i jęknął niemal równie boleśnie jak ten kwadratowy goryl na poszyciu Gaju.

— Hoyt, ale się nawaliłeś.

1

Ta jedna obietnica

Hrabstwo Alleghany przycupnęło tak wysoko na wzgórzach zachodniej części Karoliny Północnej, że gracze wystarczająco nieustraszeni, by zapuścić się na tamtejsze pola, nazywają tę grę golfem górskim. Jedyłą miejscową uprawą przynoszącą zyski są choinki, głównie jodły Frasera, a jedyną gałąź rzemiosła to budowanie domków dla letników. W całym hrabstwie jest tylko jedno miasto. Nazywa się Sparta.

Letników wabi tu pierwotna uroda New River, stanowiącej zachodnią granicę hrabstwa. „Pierwotna” to właściwe słowo. Paleontologowie uważają, że New River to jedna z trzech najstarszych rzek świata. Zgodnie z miejscową tradycją nazywa się ją „Nową”, ponieważ pierwszym białym człowiekiem, który ją ujrzał, był Peter, kuzyn Thomasa Jeffersona, a dla niego fakt istnienia tu rzeki był nowiną. Prowadził grupę badaczy na szczyt gór Blue Ridge, tworzących część wielkiego działu wodnego. Dotarł na górski grzbiet, spojrzął na drugą stronę i ujrzał zapierający dech w piersiach widok, który i dziś urzeka podróżnych — szeroki, idealnie przejrzysty górski strumień z gęstym, ciemnozielonym dziewiczym gąszczem na obu brzegach, na tle ogromnego, popielatego masywu Blue Ridge, który z daleka naprawdę jest niebieski.

Jeszcze do niedawna góry te były murem tak dokładnie oddzielającym hrabstwo Alleghany od reszty Karoliny Północnej, że mieszkańcy stanu nazywali ten region Zagubioną Prowincją, o ile w ogóle sobie o nim przypominali. Nowoczesne autostrady umożliwiły dostęp do hrabstwa, ale wrażenie odcięcia od świata i atmosfera pierwotności pozostały, i to właśnie uwielbiają letnicy, turyści, kajakarze, wędkarze, myśliwi, golfiści i nabywcy górskich

pamiętek. Nie ma tu centrów handlowych, nie ma multipleksów, nie ma ani jednego maklera giełdowego. W odróżnieniu od Charlotte lub Raleigh w umysłach mieszkańców Sparty słowo „ambicja” nie wywołuje obrazu ostrych graczy i starych wyjadaczy w nudnych garniturach i „interesujących” krawatach. Rodzice dzieci kończących jedyne liceum w okolicy, Alleghany High, nie poddają się gorączce uniwersyteckiej, która atakuje rodziny zamieszkujące tereny miejskie — gorączka uniwersytecka to potworny, obezwładniający przymus zapisania potomka na prestiżową uczelnię. Jaka spartańska rodzina mogłaby aspirować do posłania syna lub córki na uniwersytet taki jak Dupont? Raczej żadna. Prawdę mówiąc, kiedy rozeszła się wieść, że pewna maturzystka, niejaka Charlotte Simmons, zacznie jesienią studiować na Duponcie, wiadomość ta trafiła na pierwszą stronę „Alleghany News”, miejscowego tygodnika.

Jakiś miesiąc później, pewnego sobotniego poranka pod koniec maja, gdy w sali gimnastycznej odbywało się rozdanie dyplomów, ta właśnie dziewczyna, Charlotte Simmons, stała się prawdziwą gwiazdą. Dyrektor szkoły, pan Thoms, zdążył już wspomnieć podczas wyczytywania wyróżniających się uczniów, że Charlotte Simmons otrzymała nagrodę z francuskiego, angielskiego i twórczego pisania. Teraz przedstawił ją jako uczennicę wygłaszającą mowę pożegnalną.

— ...młoda kobieta, która... cóż, na ogół w szkole nigdy nie wspominamy o wynikach SAT, testu kwalifikującego do college'u... po pierwsze dlatego, że jest to informacja poufna, a po drugie dlatego, że nie lubimy kłaść tak wielkiego nacisku na te wyniki... — Zamilkł, uśmiechnął się szeroko i oprzemienił tym uśmiechem całą widownię — ...ale w tym jednym jedynym wypadku muszę zrobić wyjątek. Nie mogę się oprzeć. Jest to młoda kobieta, która otrzymała idealne tysiąc sześćset punktów w teście kwalifikacyjnym i idealne piątki z czterech różnych testów stypendialnych, młoda kobieta, która została wybrana jako jedna z dwójga laureatów nagrody prezydenta z Karoliny Północnej i która pojedzie do Waszyngtonu, do Białego Domu... wraz z Martha Pennington z naszego wydziału języka angielskiego, wyróżnioną jako jej mentorka... i wraz z dziewięćdziesięciorgiem ośmiorgiem uczniów i ich nauczycieli, reprezentujących czterdzieści jeden stanów naszego kraju, zje kolację z prezydentem i uściśnie mu dłoń, młoda kobieta, która w dodatku była jedną z gwiazd naszej drużyny biegów przełajowych, młoda kobieta,

która...

Bohaterka tej przemowy siedziała na składanym drewnianym krzeselku w pierwszym rzędzie klasy maturalnej, z sercem łopoczącym jak ptak. Nie niepokoiła się mową, którą miała wygłosić. Powtarzała ją tyle razy, że nauczyła się jej na pamięć i mogła recytować przez sen, tak jak rolę Belli w szkolnym przedstawieniu *Gaslight*. Niepokoiły ją dwie zupełnie inne kwestie: jej wygląd i koledzy z klasy. Wszystko, z wyjątkiem głowy, okrywała limonkowa toga z białym kołnierzykiem i limonkowe nakrycie głowy ze złotym frędzlem, wypożyczone na tę okazję ze szkoły. Mimo to twarz i włosy — poświęciła godziny, całe godziny, na mycie długich, prostych brązowych włosów, sięgających jej do połowy pleców, suszenie ich na słońcu, czesanie, szczotkowanie, tapirowanie, rozpaczenie nad nimi, ponieważ uważała je za najbardziej atrakcyjny szczegół swojej urody. Co do twarzy, uważała ją za ładną, ale zbyt dziecinną, niewinną, wrażliwą, dziewczicą — dziewczicą! To słowo zamigotało jej w głowie... a dziewczyna koło niej, Regina Cox, ciągle wzdychała po każdym „młoda kobieta, która...”. Jak bardzo jej teraz nienawidzi? Jak bardzo nienawidzą jej inne dziewczyny, siedzące obok niej i za nią w limonkowych togach? O co chodzi panu Thomsowi z tymi młodymi kobietami, które...? W chwili sławy, kiedy dosłownie wszyscy znajomi na nią patrzyli, czuła niemal tyle samo wyrzutów sumienia co triumfu. Ale triumf też czuła, a poczucie winy można było zdefiniować jako strach przed cudzą zazdrością.

— ...młoda kobieta, która tej jesieni stanie się pierwszą absolwentką Liceum Alleghany, studiującą na Uniwersytecie Duponta, skąd otrzymała pełne stypendium. — Dorośli na składanych krzeselkach za jej plecami wydali aprobujący pomruk. — Panie i panowie... oto Charlotte Simmons, która wygłosi pożegnalne przemówienie!

Grzmiące oklaski. Charlotte wstała, by ruszyć po schodach na scenę, nagle straszliwie świadoma własnego ciała i ruchów. Pochyliła głowę, by zasygnalizować skromność. Kolejne dźgnięcie strachu przed cudzą zazdrością kazało jej spojrzeć na złotą szarfę, która otulała jej szyję i spływała po obu stronach aż po talię, żeby obwieścić światu, a przynajmniej całemu hrabstwu, jej przynależność do Bety, honorowego towarzystwa szkolnego. Potem uświadomiła sobie, że wygląda nie tyle na skromną, ile na garbuskę. Więc wyprostowała się, a ten ruch w zupełności

wystarczył, by czapka, odrobineczkę za duża, lekko zjechała jej na potylicę. A gdyby ją całkiem zrzuciła z głowy? Nie tylko wyszłaby na beznadziejną kretynekę, ale jeszcze musiałaby się schylić, podnieść ją i znowu włożyć — i jak by wtedy wyglądały jej włosy? Jedną ręką unieruchomiła czapkę, ale już znajdowała się na schodach i ta ręka była jej potrzebna do uniesienia fałd togi, żeby nie przydepnąć jej podczas wchodzenia, bo w drugiej dłoni trzymała tekst przemówienia. I już była na scenie, oklaski wciąż grzmiały, ale ona myślała obsesyjnie tylko o tym, że ta czapka może jej się zsunąć z głowy, i dużo za późno uświadomiła sobie, że powinna się uśmiechnąć do pana Thomsa, który szedł ku niej z promienną twarzą i wyciągniętą ręką. Ucisnęła ją, a on objął jej dłoń drugą ręką, pochylił się ku niej i powiedział cicho:

— Kochamy cię, Charlotte, jesteśmy z tobą.

Potem przymknął powieki i kilka razy pokiwał głową, jakby mówił „nie martw się, nie denerwuj się, poradzisz sobie”, co po raz pierwszy uświadomiło jej, że wygląda na zdenerwowaną.

I już stała na podium, zwrócona twarzą do wszystkich osób na składanych krzeselkach w sali do gry w kosza. W dalszym ciągu bili brawo. Tuż przed nią znajdował się limonkowy prostokąt kolegów z klasy, maturzystów w czapkach i togach. Regina klaskała, ale powoli i mechanicznie, i pewnie tylko dlatego, że siedziała w pierwszym rzędzie, więc nie chciała się tak zupełnie afiszować ze swoimi uczuciami, i wcale się nie uśmiechała. Trzy rzędy dalej Channing Reeves przechylał głowę i uśmiechał się, ale jednym kącikiem ust, przez co wyglądał zimno i sarkastycznie, i wcale nie klaskał. Laurie McDowell, która także nosiła złotą szarfę Bety, klaskała entuzjastycznie i patrzyła jej prosto w twarz ze szczerym uśmiechem, ale przecież Laurie była jej przyjaciółką, jej jedyną przyjaciółką w klasie. Brian Crouse, z jasnorudawą grzywką — o rety, Brian! — Brian klaskał chyba szczerze, ale gapił się na nią z lekko otwartymi ustami, jakby nie była jego koleżanką ani nikim więcej, tylko jakimś... dziwolągiem. Znowu oklaski, bo wszyscy dorośli uśmiechali się do niej i klaskali ze wszystkich sił. Tam siedzi pani Bryant, która prowadzi sklep z pamiątkami, panna Moody, która pracuje w Sklepie z Drobiazgami Baera, Clarence Dean, młody kierownik poczty, pan Robertson, najbogatszy człowiek w Sparcie, właściciel szkółki choinek Robertsona, cały uśmiechnięty, klaska jak szaleniec, a ona go nawet nie zna, a po tamtej stronie w drugim rzędzie mama, tatuś, Buddy i Sam, tatuś w starej sportowej kurtce, w której wygląda,

jakby ktoś wbił go w nią przemocą, z kołnierzykiem sportowej koszuli wyłożonym na kołnierz kurtki, mama w najlepszej sukience, granatowej z krótkimi rękawami i z białymi kokardkami, oboje nagle wyglądają tak młodo, całkiem nie na parę po czterdziestce, i klaszczą z umiarem, by nikt nie posądził ich o grzech pychy, ale się uśmiechają i z trudem panują nad rozsadzającą ich dumą i radością, a obok Buddy i Sam w koszulach, gapiący się na siostrę jak dwaj mali chłopcy w stanie totalnego osłupienia. W tym samym rzędzie, dwa miejsca za chłopcami, siedziała panna Pennington w sukience w duże wzory, kompletnie niepasującej do kobiety mocno po sześćdziesiątce i bardzo przy kości, ale to cała panna Pennington — kochana panna Pennington! — i w tamtej chwili Charlotte zobaczyła i poczuła ten dzień, kiedy panna Pennington kazała jej zostać po pierwszych zajęciach z angielskiego i oznajmiła tym swoim głębokim, szorstkim głosem, że pora sięgnąć wzrokiem poza okręg Alleghany i Karolinę Północną, pora spojrzeć na wielkie uniwersytety i bezkresny świat, bo jesteś stworzona do wielkich rzeczy, Charlotte. Panna Pennington biła brawo tak mocno, że trząsł się jej ogromny biust, a potem, widząc spojrzenie Charlotte, podniosła pięść, osobliwie drobną piąstkę, podniosła ją niemal do brody i poruszyła lekko w ukradkowym geście triumfu, ale Charlotte nie ośmieliła się zareagować nawet uśmiechem...

...ze strachu, że ten superświatny Channing Reeves i inni uznają, że się napawa oklaskami, i zniechęcą ją jeszcze bardziej.

Oklaski ucichły i nadeszła ta chwila.

— Panie profesorze, członkowie rady pedagogicznej, absolwenci i przyjaciele szkoły... — dobrze, głos jej nie drżał — rodzice, uczniowie, koledzy z klasy...

Zawahała się. Pierwsze zdanie zabrzmiało okropnie! Chciała, żeby jej przemówienie było inne od wszystkich typowych pożegnalnych wspomnień. Ale to, co miała powiedzieć... dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało, a było już za późno!

— John, wicehrabia Morley z Blackburn — dlaczego zaczęła tak snobistycznie! — powiedział kiedyś: „Sukces zależy od trzech rzeczy: kto mówi, co mówi i jak mówi. Z tych trzech rzeczy najmniej istotne jest, co mówi”.

Zrobiła pauzę, tak jak planowała, by słuchacze mogli zareagować na to, co miało być dowcipnym wstępem, zamilkła z bijącym sercem, bo jej słowa po prostu krzyczały, że jest intelektualną snobką...

...ale ku jej zaskoczeniu podchwycili sygnał, roześmiali się uprzejmie, nawet z przekonaniem...

— Więc nie mogę zagwarantować, że odniosę sukces.

Znowu zrobiła pauzę. Znowu śmiech, jak na komendę. Potem uświadomiła sobie, że to dorośli. To oni. W limonkowym prostokącie kolegów śmiało się paru, paru się uśmiechało. Wielu — w tym Brian — patrzyło jak zamroczeni, a Channing Reeves odwrócił się do siedzącego obok Matta Woodsona i wymienili chłodne, cyniczne uśmieszki, jakby mówili: „Wicehrabia jak? A daj se siana”.

Więc odwróciła wzrok od kolegów, spojrzała na dorosłych, i dzielnie brnęła dalej.

— Mimo to spróbuję przytoczyć to, czego my, maturzyści, nauczyliśmy się przez te cztery lata, a co nie mieści się w granicach wiedzy akademickiej...

Dlaczego musiała powiedzieć: „nie mieści się w granicach wiedzy akademickiej”? Kiedy to pisała, wydawało się jej tak dostojne, a teraz okazało się sztuczne i pompatyczne...

...ale dorośli patrzyli na nią wniebowzięci i z uwielbieniem! Patrzyli z podziwem, spijali słowa z jej ust! Zaczęło jej świtać... oni uważają ją za cudowne dziecko, skarb, niespodziewanie odnaleziony w kamienistych ziemiach Sparty. Byli w takim nastroju, że zachwyciłoby ich wszystko, cokolwiek by powiedziała.

Ciągnęła trochę pewniej:

— Nauczyliśmy się cenić wiele rzeczy, które nigdy przyjmowaliśmy, jakby się nam należały. Nauczyliśmy się patrzeć na wyjątkowe środowisko, w którym żyjemy, jakbyśmy widzieli je po raz pierwszy. Jest taka stara pieśń Apaczów: „Duchu Wielkiej Niebieskiej Góry, domu z błękitnych chmur, jestem wdzięczny za tę dobroć, która tu panuje”. Setki lat później my, dyplomanci, także odczuwamy wdzięczność za to...

Znała tekst na pamięć, słowa płynęły jak nagrane, a jej myśli biegnęły własnym torem... Usiłowała tego uniknąć, ale jej oczy same wracały do kolegów z klasy... do Channinga Reevesa... Co ją właściwie obchodzi, co myśli o niej Channing z kółkiem przyjaciół i wielbicieli? Odezwał się do niej dwa razy w życiu — dlaczego miałaby się nim przejmować? Channing na jesieni w ogóle nie pójdzie na studia. Pewnie przez resztę życia będzie żuł gumę i nalewał benzynę na stacji Mobil albo, jeśli z powodu braku kwalifikacji straci i tę pracę, będzie pracować w szkółce choinek razem z Meksykanami, którzy obecnie dostają najczarniejszą

robotę w hrabstwie, z piłą łańcuchową w prawej ręce, ze szlauchem opryskiwacza w drugiej, uginając się pod ciężarem bani z nawozem na plecach. A w nocy będzie się uganiał za Regina i dziewczynami jej pokroju, pracującymi na poczcie u Robertsona...

— Nauczyliśmy się, że osiągnięć nie da się mierzyć zimnymi szacunkami zysku i siły nabywcej...

...Regina... ależ ona żałosna, a przecież należy do tych, co są spoko, co są trendy, co odtrącają Charlotte Simmons, bo jest taką nudziarą, takim kujonem, bo nie tylko dostaje najlepsze stopnie, ale jeszcze się o nie stara, bo nie pije i nie pali grasu ani nie chodzi nocą na wyścigi na autostradzie 21, bo nie mówi „zajebicie”, bo nie chce wyluzować... to przede wszystkim... bo nie przekracza tej granicy i nie chce wyluzować...

— Nauczyliśmy się, że współpraca, wspólne działanie jest o wiele skuteczniejsze niż działanie w pojedynkę i...

Ale dlaczego to ma ją boleć? Bez przyczyny. Po prostu boli. Gdyby wszyscy ci dorośli, którzy teraz patrzą na nią z takim podziwem, wiedzieli, co jej koledzy o niej myślą — ci sami maturzyści, do których niby to się zwraca — gdyby tylko wiedzieli, jak bardzo demoralizuje ją widok tych obojętnych, biernych twarzy w limonkowym prostokącie... czemu ma być wyrzutkiem tylko dlatego, że nie robi głupich, bezcelowych, autodestrukcyjnych rzeczy?

— ...że dwudziestka działająca wyłącznie we własnym interesie...

...a Channing ziewa — ziewa jej w twarz! Fala gniewu. Niech sobie myślą, co chcą! Prawda wygląda tak, że Charlotte Simmons funkcjonuje wysoko ponad nimi. Nie łączy ich nic oprócz tego, że ona także przypadkiem wychowała się w Sparcie. Nigdy więcej ich nie zobaczy... W Duponcie znajdzie ludzi takich jak ona, ludzi którzy naprawdę mają życie umysłowe, ludzi, których plany na przyszłość sięgają poza sobotni wieczór...

— ...bo jak napisał wielki naturalista John Muir w *John of the Mountain*: „Góry dają początek człowiekowi w takim samym stopniu, co rzekom, lodowcom, żywej ziemi. Wielcy poeci, filozofowie, prorocy, ludzie ważni, których myśli i czyny poruszyły świat, zeszli z gór... mieszkańcy gór, którzy urosli w siłę tutaj, wraz z leśnymi drzewami w warsztacie Natury”. Dziękuję.

Koniec. Burza oklasków... i jeszcze większa burza oklasków. Przez chwilę stała na podium. Objęła spojrzeniem widownię i skupiła je na kolegach. Wydeęła usta i wbiła w nich wzrok. A jeśli

niektórym starczyło rozumu, by rozszyfrować jej minę — Channing, Regina, Brian... Brian, wiązała z nim tyle nadziei! — to będą wiedzieć, że ta mina oznacza: „Tylko jedno z nas zejdzie z tych gór, by dokonać rzeczy wielkich. Wy wszyscy możecie tutaj zostać — i zostanieie — a zejść możecie jedynie na psy. Dokonacie żywota wśród leśnych szkótek”.

Zabrała tekst, na który nie spojrzała ani razu, zesła ze sceny i po raz pierwszy pozwoliła sobie na rozkoszowanie się tym bezgranicznym uwielbieniem i grzmiącymi oklaskami dorosłych.

Simmonsowie jeszcze nigdy nie wydali przyjęcia w swoim domu na County Road 1709, i nawet teraz matka Charlotte nie była skłonna nazwać tego przyjęciem. Jako niezłomna wyznawczyni działającej w centrum kraju sekty, Kościoła Ewangelii Chrystusa, uważała przyjęcia za występne wybryki rozwiązłych ludzi, którzy mają więcej pieniędzy niż charakter. Więc i dziś, po rozdaniu dyplomów, po prostu „zaprosili parę osób”, choć przygotowania do tego wydarzenia trwały od trzech tygodni.

Dzień był piękny, i chwała Bogu, powiedziała do siebie Charlotte, mając na myśli głównie stół piknikowy, stojący tuż koło anteny satelitarnej. Goście siedzieli na podwórku w słońcu, choć właściwie nie było to podwórko, raczej mały spłachetek ubitej ziemi z kępami trawy, wtapiającej się w poszycie pobliskiego lasu. W powietrzu rozchodził się dziwnie słodki zapach hot dogów; przy starym, brzydkim grillu stał ojciec. Goście brali hot dogi z grilla, a ze stołu piknikowego sałatkę ziemniaczaną, jajka w majonezie, szynkę w cieście, placek rabarbarowy, owocowy poncz i lemoniadę. Na ogół ten stół stał w domu. Gdyby padało i wszyscy ci ludzie — panna Pennington, szeryf Pike, kierownik poczty, pan Dean, panna Moody, pani Bryant, pani Cousins, która namalowała mural w stylu Babcі Moses w sklepie pani Bryant — gdyby wszyscy oni musieli się stłoczyć w domu, wraz z jej kuzynami i rodzicami jej przyjaciół, i dowiedzieli się, że jedyny stół rodziny Simmonsów to właśnie ten stół piknikowy, i to jeszcze taki — ze zwykłymi deskami po obu stronach w roli ławek — Charlotte chybaby umarła. Już i tak wystarczyło, że tatuś ma koszulę z krótkimi rękawami. Wszyscy mogli się przyjrzeć wytatuowanej syrenie, która pokrywała całe jego masywne prawe przedramię — pamiątka po nocy w mieście, z czasów gdy był w wojsku.

Dlaczego syrena? Nie pamiętał. Nawet nie była podobna.

Dom był małym, parterowym drewnianym pudełkiem z drzwiami i dwoma oknami od strony drogi. Jedyne skojarzenia ze zdobieniami nasuwały przymocowane na stałe osłony nad oknami, z drewnianych dachówek. Drzwi otwierały się bezpośrednio na duży pokój, który — choć miał tylko trzy i pół na pięć metrów, musiał pełnić funkcję salonu, gabinetu, pokoju telewizyjnego, bawialni i jadalni. Tam właśnie na ogół stał ten piknikowy stół. Sufitu prawie dotykało się głową, a cały dom był przesiąknięty wsiowym odorem, nierozzerwalnie związanym z paleniem węgłem i naftą. Dopóki Charlotte nie skończyła sześciu lat, mieszkali pod ziemią, gdzie teraz znajdowały się fundamenty. Wtedy nic sobie z tego nie robiła, bo nie oni jedni byli w takiej sytuacji. Mnóstwo rodzin zaczynało w ten sposób, jeśli chcieli mieć własny dom. Kupowali mały kawałek ziemi, nie więcej niż jedną piątą akra, wykopywali fundamenty, kładli na nie papę, przebijali ją rurą do piecyka, który służył do gotowania i ogrzewania, i mieszkali w ziemiance, dopóki nie zdołali oszczędzić sumy wystarczającej, żeby się pobudować. A kiedy wreszcie to następowało, rezultat był mniej więcej taki jak tutaj: małe pudełko z rdzewiejącym szambem z boku i udeptanym zachwaszczonym podwórkiem na tyłach.

Laurie McDowell odeszła od piknikowego stołu z papierowym talerzem pełnym jedzenia i białym plastikowym widelcem. Najwyraźniej zamierzała podejść do pani Bryant. Laurie była wysoką, szczupłą dziewczyną o sporej czuprynie kędzierzawych jasnych włosów i twarzy, która promieniała niezaprzeczalną życzliwością i dobrocią, choć dziwnie szeroki i tępo zakończony nos szpecił resztę wdzięcznej buzi. Jej ojciec był inżynierem i miał państwową posadę, a ich dom w porównaniu z domem Charlotte był pałacem. Ale nią Charlotte się nie przejmowała. Była tu wiele razy i wiedziała, jak się sprawy mają. Poza Laurie nie zaproszono nikogo z klasy. Tu bawili się tylko krewni i prawdziwi przyjaciele, i to miał być prawdziwy — przynajmniej tak się wydawało — piknik i zachwyty nad gwiazdą dnia, panną Charlotte Simmons, stojącą wśród gości we wzorzystej sukience bez rękawów, którą włożyła pod togę.

— No, jak Boga noga, moja mała! — wykrzyknął były majster jej ojca z fabryki butów Thorn McAna w Sparcie, obecnie przeniesionej do Meksyku albo Chin... wielki, brzuchaty facet nazwiskiem Otha Hutt. — Wszyscy mi mówili — „wszyscy my